

Wojna egipsko-algierska pod flagą czerwono-biało-czarną

29 stycznia 2010

Zaczął się niewinnie – miesiąc temu nauczyciel, który pojawił się na zastępstwie, przyniósł nam, to jest cudzoziemcom studiującym język arabski na Uniwersytecie Kairskim, tekst o piłce nożnej. Jęknęłam w duchu.

Po mojej lewej stronie jęknęły zupełnie wyraźnie dwie polskie współstypendystki. Nasze wenusjańskie mózgi przygotowały się na cierpienie.

Wiedziałyśmy dobrze, że nie uciekniemy przed piłką – w Kairze, który przywitał mnie derby pomiędzy drużynami Al-Ahly i Zamalkiem – nikt nie ucieknie. Nawet dziecko, kobieta i starzec prędzej czy później będą musieli zadeklarować się po którejś ze stron. Ja nie miałam problemu z wyborem – wszak moi polscy koledzy kibicowali ze znanstwem Al-Ahly (czerwonym – do niedawna najlepszej drużynie Afryki).

Stronę Zamalku (białych, którzy swoje dni chwały przeżywali 30-40 lat temu) trzymają przez sentyment raczej starsi ludzie.

Nasz nauczyciel nie mówił jednak o tak oczywistych sprawach – on wyjaśnił nam historyczną wagę meczu, który miał zostać rozegrany na kairskim stadionie w sobotę, 14 listopada.

Dlaczego historyczną? Otóż 1990 r. Puchar Narodów Afryki odbywał się w Algierii, która została wtedy mistrzem, Egipt dał się pokonać we wszystkich trzech meczach w grupie; przez Egipcjan zostało to zapamiętane jako tragedia narodowa.

19 lat później Egipt, sześciokrotny zdobywca Pucharu Narodów Afryki, przegrywający pierwszy mecz w eliminacjach do Mistrzostw Świata z będącą z nim w jednej grupie Algierią, musiał zdobyć u siebie przewagę przynajmniej dwóch goli, żeby

marzyć o awansie do tej imprezy. Optymalne i decydujące, acz mało realistyczne byłyby trzy gole strzelone gościom.

Już parę dni wcześniej można było kupić na ulicach trójkolorowe flagi egipskie (przypominające odwrócone polskie, tyle że z doszytym na dole czarnym pasem); farbki do malowania twarzy w patriotyczne barwy rozeszły się jak gorące bułeczki, podobnie trąbki i inne ustrojstwa do robienia większego niż zazwyczaj hałasu. Nauczyciele, taksówkarze i sklepikarze o niczym innym nie mówili, jak tylko o meczu – wszystkim życzyłam sukcesu narodowej drużyny.

W sobotę śpieszyłam się z powrotem z popołudniowych zajęć, bo już od 16.00 większość ulic była totalnie zakorkowana – młodzież, przeważnie męska, utworzyła coś na podobieństwo wielkich mrówczych kopców najeżonych powiewającymi chorągiewkami.

Zrobiłam im parę zdjęć komórką i zamknęłam się w domu. Mimo oglądanej komedii zgadłam bez pudła, jaki był wynik – dwa potężne ryki radości przetoczyły się przez miasto. Uff – odetchnęłam z ulgą. Egipcjanie zwyciężyli, to znaczy będą tańczyć i cieszyć się całą noc, a od rana będą w dobrych humorach, nie strach będzie wyjść na ulicę.

Faktycznie, w niedzielę rano cały Kair promieniał, żyjąc chwilą i spychając w podświadomość, że to nie koniec, bo tak naprawdę wszystko rozstrzygnie się w środę, 18 listopada, na „neutralnej” sudańskiej ziemi. Atmosfera gęstniała. Egipcscy kibice obrzucili kamieniami autokar wiozący reprezentantów algierskich (egipskie gazety napisały, że to goście sami się tak urządzili).

Algierczycy w odwecie ułożyli piosenkę, której można było posłuchać w Internecie: „Słuchajcie Faraonowie, już jesteście przeklęci (...) Izrael pokonał was w sześć dni w 1967 (...) To nie my sprzedaliśmy Palestynę Żydom”. Na co Egipcjanie zanucili szybciotko na Youtube’ie: „Wasze słowa nie są ważne i po nas

spływają. Mówcie do nas po francusku, bo wasz arabski jest słaby (...) Wyzwoliliśmy was, kiedy Francja zrobiła z was niewolników". Uderzający przykład miłości panarabskiej zaiste. Ale to nie wszystko, algierski dziennik „Ech-Chorouk” podał nieprawdziwą informację (jako nie jedyny zresztą), iż w Kairze zginęło przynajmniej dziesięciu algierskich kibiców. W rezultacie w Algierze zniszczono biura filii egipskiej sieci komórkowej, zaś algierski fiskus naliczył egipskiemu operatorowi podatek opiewający na ponad pół miliarda dolarów.

Nadeszła środa. Znowu zamknęłam się w domu pieczołowicie wybierając inną komedię. Tym razem oglądania nie przerwały mi okrzyki radości. Miasto było podejrzanie ciche. Kiedy mecz się skończył, włączyłam kanał informacyjny – prezenter i prezenterka byli chłodno profesjonalni – wiedziałam już, że przegraliśmy. Pytanie, ile? 1:0. Jeden gol, mała skórzana piłka szybuje do bramki Egiptu, piłkarze niemal się nie zabijają (przez cały mecz grają zresztą bardzo agresywnie), a potem wydarzenia postępują lawinowo.

W Sudanie obrywa się egipskim kibicom. Wyolbrzymione pogłoski mówią o atakujących hordach przywiezionych wojskowymi samolotami i uzbrojonych za rządowe pieniądze w noże oraz ciężkie pałki obywatelach Algierii. Za to w metrze, na ulicy, kairczycy w każdym poruszającym się samopas cudzoziemcu widzą Algierczyka. Mnie zaczepiają dwa razy; odpowiadam z godnością, że jestem z Europy (kolegów współstypendystów już wcześniej biorą za Algierczyków, próbują ich przyłapać na mówieniu arabskim zmieszanym z francuskim, rzucając znienacka „oui?”).

Rzecz jasna, prawdziwi Algierczycy wolą nie wychodzić na miasto. W nocy z czwartku na piątek rozwścieczony tłum ponad tysiąca Egipcjan rusza na algierską ambasadę. Zamalek (wyspędzielnicę, gdzie żyją głównie dyplomaci) zalewa policja, tutejsze „ZOMO”. Ze strony tłumu lecą kamienie, płyty chodnikowe, płonące pociski i strzepy algierskich flag. Ponad trzydzieści osób zostaje rannych. Kilka witryn sklepowych i

kilkanaście samochodów zniszczonych.

W piątek mam okazję zobaczyć krajobraz po bitwie. Jadę na ulicę Brazil, gdzie mieści się algierska ambasada, ale też mieszka moja dawna znajoma. Umówiłam się z nią tydzień wcześniej i nie zamierzam przekładać spotkania. Żeby się dostać na miejsce biorę taksówkę – kierowca co chwilę wykrzykuje ironicznie „Kuraa! Kuraaa! (arab. piłka), po czym pyta mnie, co jest napisane na transparentach niesionych przez pokrzykującą grupę młodzików. „Stop pomocy ekonomicznej dla Algierii” tłumaczę mu z angielskiego na arabski. Wysadza mnie przy blokadzie, przechodzę przez kilka kordonów ubranych na czarno i opierających się o wielkie tarcze policjantów, wzdłuż opancerzonych wozów bojowych. Ulica Brazil jest totalnie pusta. Walają się po niej śmieci i kamienie, resztki wczorajszych pocisków, potłuczonych płyt chodnikowych, okruchy szkła. Policjanci rozstępują się grzecznie, kiedy się do nich uśmiecham. Kiedy pytam o drogę, równie grzecznie odpowiadają.

Po spotkaniu wracam tą samą drogą – ulica nie jest oświetlona i kanciaste kształty wojskowych półciężarówek, w których ciągle siedzą gotowi do akcji policjanci ledwo majaczą w mroku. Dziwne wrażenie. Jakby to był jakiś stan wojenny. Albo raczej preludium do wojny futbolowej. Zwłaszcza, że na ulicach i w telewizji słychać: „Powinniśmy traktować Algierię tak, jak każde państwo, które wypowiedziało nam wojnę”. Egipski ambasador pod pretekstem „rozmów” zostaje odwołany z Algierii, stosunki między trzema krajami (bo i Sudanem) robią się bardzo napięte.

Liczę na to, że wszystko rozejdzie się po kościach. Powoli rozchodzi się. Nasz nauczyciel od mediów ogląda powtórnie feralny mecz – tym razem z algierskim komentatorem w tle. Z kolei zaprzyjaźniony wykładowca dialektu tłumaczy mi, że do eskalacji sytuacji przyczyniły się media, konkurujące ze sobą i przyciągające widzów pokazywaniem skrajnych zachowań. Jego zdaniem te zamieszki najbardziej były na rękę politykom. Przez kilka tygodni bowiem społeczeństwa tak Egiptu, jak Algierii

nie myślały o problemach gospodarczych, o reformie edukacji, czy systemu opieki zdrowotnej, nie myślały o niczym – poza piłką. Przez kilka dni piłka była bogiem, a piłkarze jej kapłanami. Teraz słońce przygasło, lecz z pewnością nie na długo; sam prezydent Hosni Mubarak poklepał kapłanów po ramieniu – wydając na ich cześć przejęcie.

Mnie jednak nadal dręczy pytanie: dlaczego? Dlaczego przegrana w tym konkretnym meczu, zapewne ważnym, jednak nie pierwszym i nie ostatnim w historii Egiptu, wywołała tak ostrą reakcję? Czy faktycznie winni byli politycy i media? (te ostatnie moim zdaniem starały się raczej łagodzić nastroje – podczas rozmów i analiz w studiach telewizyjnych podkreślono nieustannie wagę miłości i przyjaźni arabsko-muzułmańskiej). Czy, jak sądzą arabscy psychologowie, frustracja społeczeństwa osiągnęła krytyczny poziom, piłka zaś była tylko pretekstem i katalizatorem? Czy w całej sprawie nie ma ukrytego dna – na przykład podłoża ekonomicznego?

Mijają ponad dwa tygodnie od feralnych wydarzeń i w prasie można przeczytać obszerniejsze analizy. Brzmią nieco spiskowo, mimo to warto się im przyjrzeć. Szczególnie jedno wyjaśnienie zasługuje na uwagę. Egipski „Al-Ahram Weekly” cytuje mianowicie wysoko postawione źródło, Imad ad-Dina Adiba, który wini pewne „państwo z Zatoki” za finansowanie planu wyrugowania z algierskiego rynku Egiptu, posiadającego w tym kraju sześciomiliardowe inwestycje. Tymczasem tajemnicą poliszynela jest, iż wspomniany wyżej „Ech-Chorouk”, który publikował antyegipskie teksty, jest finansowany przez Katar...

Żadna z częściowych odpowiedzi udzielonych mi przez arabskich znajomych, lub podanych przez tutejsze media, nie zadowala mnie całkowicie. Jednak wszystkie razem zdają się choć trochę przybliżać do prawdy o mechanizmach stojących za egipsko-algierskimi starciami, na pewno zaś do arabskiej percepcji zaistniałych wydarzeń. Wydarzeń, które mogły, lecz na szczęście nie przerodziły się w prawdziwą wojnę futbolową.

Autor: Marta Woźniak

Źródło: Arabia.pl